

Matgorzata Lisinska



**ZAKONNA**  
SERIA TROPICIEL

*Dla tych, którzy wspierają mnie od zawsze...  
i Michałowi, bo pięknie przeklina*

## Spis treści

Prolog	4
Yasa	6
Mediacje	21
Idealni	55
Zasadzka	78
Król	100
Porozumienie	118
Starzy przyjaciele, starzy wrogowie	139
Wspomnienia i sny	156
Pierwotny Mag	170
Lodowiec	192
Uczucia	207
Pytania i odpowiedzi	227
Gherdeire	242
Jaskinia	263
Isina	281
Księżna	305
Epilog	319

## Prolog

Krwistoczerwone włosy, miękkie i chłodne jak jedwab, musnęły twarz młodego mężczyzny, a on zapragnął ich dotknąć. Zapragnął rozpaczliwie, ostatecznie. Ale nie wyciągnął do nich palców. Nie dlatego, że krępowała go magia. Nie musiała. Wystarczyło jedno zimne spojrzenie Isiny.

– Szybciej – poleciła.

Uchwycił jej biodra i posłusznie przyspieszył. Była ciasna i wilgotna. Pierwsze spazmy rozkoszy ściągnęły sutki i przemknęły przez napięte mięśnie brzucha. Unosiła się i opadała, raz za razem, szybko, coraz szybciej. Piersi podrygiwały, pieszczone długimi lokami. Ciało tężało... i w końcu ekstaza wyrwała krzyk z ust czarownicy. Jeden gwałtowny, wysoki krzyk. Fale przyjemności przetoczyły się przez napięte mięśnie, jedna za drugą...

Mężczyzna oddychał szybko i płytko. Jego spełnienie też nadchodziło. Walczył z tym, zaciskając zęby i szepcząc zaklęcia. Isina nie pozwalała. Nigdy nie pozwalała...

Stoczyła się z niego i wstała, doskonała jak zawsze. Naga podeszła do okna. Wiatr schłodził rozgrzaną skórę,

a potem zaigrał wśród włosów, które zafalowały jak wstęgi krwi. Przez długą chwilę patrzyła za okno, na wyczarowany świat złotego piasku i szemrzącej wody. Później odwróciła się i spojrzała na młodzieńca na łożu, stężałego w walce z własnym pragnieniem. Uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

– Lubię cię, Yaso. – Podeszła i usiadła obok niego.  
– Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że jesteś odpowiedni. Całkiem odpowiedni.

Coś błysnęło w czarnych tęczęwkach młodego Pierwotnego, coś, czego nie zdołała odczytać. Chłopak zmarszczył brwi, zacisnął zęby... i nagle, choć nigdy wcześniej tego nie zrobił, sięgnął po kochankę bez pozwolenia. Nie bronila się, zaskoczona i rozbawiona po trosze. Pozwoliła, by pchnął ją na wielkie wyściełane jedwabiami łoże, rozwarł jej uda, a później wszedł w nią z gniewem, niemal wściekłością. Doszedł błyskawicznie, w kompletnej ciszy. Nawet nie jęknął, szarpany kolejnymi spazmami rozkoszy.

– Kiedyś... cię... zostawię – wydyszał, gdy skończył. Wstał i jak poprzednio jego kochanka, podszedł do okna. – Zostawię cię i będę wolny.

Roześmiała się głośno, szczerze ubawiona.

– Kochany, należysz do mnie. Jesteś moją własnością. Nigdy mnie nie zostawisz. Nic i nikt nie zdoła mi ciebie odebrać, Yassso. Nikt.

# Rozdział I

## Yasa

Ciemne chmury całkowicie zakryły niebo, a padający z nich śnieg zamknął okolicę w szarobiałej rzeczywistości. Kary kuc z trudem przedzierał się przez nawałnicę. Kopyta grzęzły w wilgotnym puchu, a zwierzę, chociaż parskalo niespokojnie, posłusznie brnęło przed siebie. Grube płatki osadzały się w gęstej czarnej grzywie, kunsztownie splecionej w setki warkoczyków, a potem, roztopiwszy się, wolno sunęły wzdłuż łba na rozchylone z wysiłku chrapy. Mocny wiatr tańczący wśród bieli co rusz zatykał oddech to konia, to jeźdźca. Niska postać, zakutana w niedźwiedzie skóry, pochylała się w siodle, niemal leżąc na karku wierzchowca. Pod kapturem co jakiś czas błyskały czarne oczy obserwujące okolicę. W końcu dłonie odziane w grube rękawice ściągnęły wodze. Kuc zatrzymał się posłusznie, a jeździec z niechęcią zeskoczył z siodła.

– Przez ten pieprzony śnieg to byśmy się pewnikiem zgubili, Doru. – Krasnolud poklepał lekko kark zwierzęcia, a ono spojrzało na pana obojętnie. – Ano tośmy i są. Dalej to cię nijak ze sobą targać nie mogę, to i zo-

staniesz, coby na mnie poczekać. – Zaplątał rzemie-  
nie uzdy wokół drzewa, a potem odwrócił się i powoli  
uniósł głowę.

Tuż przed nim wśród białej zawiei piętrzyły się skały.  
Nagie, mimo padającego od wielu dni śniegu, srebrzy-  
stoczarne szczyty ginęły wśród ciemnych chmur. Wy-  
rżnięte w górach niczym w ścianie wysokie spadziste  
schody, połyskujące jak szkło i równie obnażone jak  
wierzchołki, ciasnym węzłem wiły się ku chmurom. Nie  
chroniła ich żadna barierka, żaden mur nie zabezpieczał  
ewentualnego wędrowca przed upadkiem. Lodowaty  
wiatr, ten sam, który u podnóża tańczył wśród tumanów  
śniegu, próbował wyszarpać kamienne stopnie.

– Kurwa – wyszeptał krasnolud nieco żałośnie. Po-  
prawił poły płaszcza, by lepiej ochronić się przed mro-  
zem i zawieruchą. Długie rude włosy, gęste i pokręcone,  
wymykały się z niegdyś misternie splecionych warkoczy.  
Zastygająca na mrozie mgiełka oddechu sopolkami osa-  
dzała się na krzaczastych brwiach, wąsach i poskręca-  
nej brodzie. Sodi westchnął ciężko, zacisnął wargi i nie  
ogładając się, ruszył ku schodom.

Z trudem pokonywał wysokie stopnie, ślizgając się  
na oblodzonych kamieniach. Kilka razy zjechał i ude-  
rzył kolanem o zimne, mokre głązy. Zawsze towarzy-  
szyły temu krzyk i przekleństwo, ale krasnolud szedł  
dalej, mamrocząc gniewnie pod nosem. Niszczycielska  
śnieżyca szalejąca u podnóża góry tu, na dziwnych scho-  
dach, zmieniała się w migotliwe obłoczki osadzające  
szron na kamiennych stopniach, wciskające w usta i nos  
wędrowca setki bolesnych igiełek. Mężczyzna sapał

ciężko między jednym a drugim przekleństwem. W połowie drogi rozwiązał z pietyzmem uprzednio sznurowany kożuch. Kilkanaście stopni dalej zsunął z głowy kaptur, a po chwili grubą wełnianą czapę. Pot, spływający z czoła, wcisnął się za kołnierz koszuli i wąskimi strumyczkami, po napiętych z wysiłku plecach, zdążył ku paskowi spodni. Krasnolud otarł oblicze i na chwilę się zatrzymał. Ciemna chmura, którą widział z dołu, wisiała tuż nad jego głową. Jeszcze dziesięć schodów i utonie w lepkim, zimnym puchu. Otrząsnął się niechętnie i ruszył dalej.

– Jak się, kurwa, pomyliła, wsadzę jej w dupę największy świerczek z tego jej pieprzonego lasu, a potem zlegnę i poczekam, czy wylezie załganą gębą – wyjęczał, ledwie dysząc, a później wszedł w ponury obłok. Na moment musiał zamknąć oczy, bo lodowate drobinki wciskały się w nie, jakby próbowały wypalić je mrozem. Opadł na kolana i na oślep, macając niespokojnie, pokonywał kolejne stopnie.

Naraz bolesny chłód i lodowata ciemność znikły. Mrok za zamkniętymi powiekami zmienił się w mięką, łagodną jasność. Krasnolud otworzył wolno oczy i zamrugał gwałtownie. Od nieba, czystego najczystszym błękitem, odcinała się ściana góry, a w niej potężna, wysoka na trzech, może czterech ludzi brama kuta ze szczerego złota. Słońce połyskiwało w misternych żłobieniach i przemykało przez krwistą czerwień rubinów. Tak, z całą pewnością były to rubiny i złoto. Sodi znał się na tym, ostatecznie pochodził z najznakomitszej krasnoludzkiej rodziny. Złoto i rubiny to część jego



dziedzictwa. Uśmiechnął się ponuro, wciąż z trudem łapiąc oddech. Był na miejscu.

Zerknął w dół. U jego stóp, niczym miękki dywan, rozciągała się chmura. Odetchnął głęboko chłodnym, czystym powietrzem i postąpiwszy ku bramie, uniósł pięść, by zastukać. Odrzwia rozchyliły się, zanim zdołał ich dotknąć. Igiełka strachu przewierciła gruby kark. Sodi potrząsnął głową, odganiając niepokój, i wszedł do środka. Za jego plecami brama zamknęła się bezgłośnie. Nie spojrział na nią, ale odruchowo położył rękę na wciśniętym za pas toporze.

Gruby dywan wyściełający szeroki korytarz tłumiał kroki krasnoluda. Przy ścianach zdobionych wielobarwnymi wzorami unosiły się złote świeczniki, pływające między sufitem a podłogą, jakby były zawieszzone na niewidzialnych sznurkach. W lichtarzach zaś delikatnym, przytłumionym światłem płonęły setki świec. Przepychowi pomieszczenia towarzyszył nieco zduszony dźwięk harfy dobiegający z odległej komnaty. Dłoń Sodiego wolno zsunęła się z broni, a on sam zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku źródła muzyki. Wiodła go nie tylko melodia, słodka i zwodnicza, lecz także moc czaru. Bo chociaż Tropiciel nie wrzeszczał, nie ranił i nie próbował wyrwać się na wolność, jak miał to w zwyczaju, kiedy Yudherthardere był w kontakcie z aktywnym zaklęciem, to i tak nieustannie drapał krasnoludzką skórę. Dotychczas sprawił się doskonale: doprowadził Sodiego do pałacu ostatniego Pierwotnego znacznie skuteczniej niż jakiegokolwiek mapy i ludzkie wskazania. Nie zwiodło go ani łatwe, choć miażdżą-

ce w formie pogodowe zakłęcie u podnóża gór, ani już bardziej skomplikowany Czar Kształtowania, tworzący schody. Zakłęcia wciąż tylko nieco łaskotały, drażniły zmysły, porami wsuwając się w umysł, by na jego granicy malować szarościami obrazy. Powoli jednak zaczynały palić i wizualizować się jeszcze przed wejściem w podświadomość. Wszechobecna Moc, jakkolwiek osłabiona ochronnymi czarami, rządziła tym miejscem, tańczyła na ścianach, wstęgami opasywała przysadzistą postać wędrowca, krępując ruchy, nie pozwalając na przywołanie ochronnej tarczy. Nie żeby zamierzał to robić. Po pierwsze, nie było takiej potrzeby, bo Yasa najwyraźniej sam nałożył bariery, po drugie zaś, gdyby Pierwotny zechciał, to przed potęgą tej klasy nic nie zdołałoby Sodiego uratować, a każdy obcy czar mógł ją tylko rozgniewać. Yudherthardere obiecywał więc sobie, że żadnej magii, żadnych uroków... no i żadnego drażnienia Pierwotnego Maga skutecznie nie będzie.

Krwiste wstęgi obwiązały luźno członki krasnoluda i wiodły go za dźwiękiem harfy. Narastająca melodia otumaniała umysł. Posłuszny czarom krasnolud wszedł do ogromnej komnaty. Przez jakiś czas wstęgi i dźwięk trzymały go na uwięzi, by ostatecznie odpuścić i zwrócić myślom mężczyzny normalną ostrość. Rozejrzał się szybko, nie ruszając głową. Próbował zapamiętać otaczające go widoki. Błyskawicznie oceniał swoją pozycję, kalkulował...

– Nie zamierzam was skrzywdzić, panie Yudherthardere. – Łagodny niski głos zawibrował w umyśle krasnoluda, choć, był tego pewien, żaden dźwięk nie złamał ciszy

pustego pomieszczenia. Sporo Sodiego kosztowało to, by nie drgnąć, nie okazać lodowatego strachu wpełzającego z wolna pod koszulę.

– Toście mnie uradowali, panie Yasa. A się i pobeczę jako ten smark, co długo na pannę czekał za stodołą, a ta nie dość, że przyszła, to mu jeszcze cycka dała pomacać, ino się objawcie utrudzonemu krasnoludowi – odpowiedział na głos, zapominając na chwilę, że miał nie drażnić Pierwotnego Maga. Jakoś bogowie nie zechcieli cierpliwością Sodiego pobłogosławić.

Niski, spokojny śmiech przerwał ciszę, a Pierwotny Mag zmaterializował się, jakby od zawsze stał przy kominku z zamorańskiego złocistego marmuru. Odwrócony plecami do gościa grzał nad ogniem szczupłe długie palce. Wyczuwając rosnącą irytację krasnoluda, w końcu na niego spojrział. Ascetyczną, lecz młodą i urodziwą twarz rozjaśnił dobrotliwy uśmiech, z jakim ojciec mógłby przyglądać się niesfornemu dziecku. Uśmiechowi przeczyło jednak poważne, chłodne spojrzenie ciemnych oczu.

Zimne macki telepatycznej magii zwiedzały tymczasem krasnoludzki umysł, wyrrywając myśl po myśli z najciemniejszych, najgłębiej ukrytych zakamarków. Tym razem Yudherthardere nie zdołał ukryć drżenia. Cofnął się gwałtownie, intensywnie szepcząc zaklęcie chroniące. Bezskutecznie.

– Nie bójcie się – cicho powiedział Yasa, podchodząc do Sodiego. Haftowany złotem purpurowy płaszcz bezszelestnie sunął po posadzce, gdy Pierwotny płynął tuż nad nią, przecząc prawom rządzącym światem. Wiszą-

cy na jego piersiach kryształ mienił się tęczą, przyciągał wzrok krasnoluda i nie pozwalał uwolnić myśli, a tym samym skutecznie odbijał szeptane przez Sodiego ochronne zaklęcie.

Kiedy czarodziej wreszcie zbliżył się do gościa, ten zadarł głowę, żeby móc patrzeć mu w oczy. Trwali tak przez chwilę, a Yasa wciąż przeszukiwał umysł gościa. W końcu opuścił go, a zaraz potem dotknął lekko ramienia Sodiego.

– O kurwa – jęknął krasnolud. Miękkie naraz kolana ledwie utrzymały ciężar potężnego, jak na swój gatunek, mężczyzny. Cofnął się po omacku, szukając czegoś, na czym mógłby się wesprzeć.

– Nie lubię takiego języka, panie Yudherthardere.

– A ja, kurwa – Sodi podkreślił przekleństwo – nie lubię, kiedy się mnie we łbie grzebie.

– Przyzwyczajenie. – Mag wzruszył ramionami. Odwrócił się i, tym razem stąpając po podłodze, podszedł do wyściełanej atłasami ławy. Usiadł i gestem wskazał miejsce obok siebie. – Usiądziecie?

Krasnolud zacisnął zęby. Odzyskał już władzę w członkach, poczuł się pewniej, więc normalny u niego stan wiecznego podenerwowania narastał w błyskawicznym tempie. Odruchowo położył dłoń na toporku, na co Yasa uniósł brew z rozbawieniem. Obaj milczeli. Czarodziej czekał, jego gość zaś toczył walkę z gniewem, powtarzając w myślach, jak bardzo potrzebuje pomocy gospodarza. Wreszcie zdrowy rozsądek wygrał z gwałtowną krwią i Sodi usiadł obok maga.

– Przebyliście długą drogę...

– Darujcie se, panie Yasa, te dworskie dyrdymały, co nie? Pogrzebaliście mi we łbie, wiecie, po co żem wasze progi nawiedził.

– Tak od razu? Nie chcecie czegoś zjeść, napić się, odpocząć?

– Jakoś szybko mi zbrzydła ta wasza gościna – wyrwało się krasnoludowi. Zaraz też zacisnął usta, żałując szczerości.

Yasa roześmiał się cicho, a potem przymknął powieki. Pustą i cichą komnatę wypełniły naraz dźwięki harfy oraz miękki zaśpiew lutni. Skóra grających na instrumentach pięknych kobiet, ledwie osłonięta przezroczystymi szatami, połyskiwała złociście w aksamitnym świetle ognia. Duży okrągły stół ugiął się pod ciężarem wyszukanych potraw, a długonogie nimfy leżące przy nim na ogromnych atlasowych poduszkach uśmiechały się zachęcająco do krasnoluda.

Sodi przełknął głośno ślinę i z trudem odwrócił wzrok. Żar zakłęcia palił mu skórę od wewnątrz, wiedział więc, że nęcący obraz jest jedynie ułudą, a mimo to ledwie zdołał mu się oprzeć.

– Jesteście pewni, że taka gościna wam nie odpowiada? – zapytał mag.

– Spiesz mi się. – Krasnolud spojrział na niego z mieszką tęsknoty i żalu.

– Szkoda. – Ponowne przymknięcie powiek czarodzieja przywróciło pustkę i ciszę w komnacie.

– Ano szkoda. Jak więc będzie?

– Nie handluję zaklęciami, panie Yudherthardere.

– Wiem – krasnolud skinął głową – że złota wam nie trza, drogich kamieni też macie w cholerę. A i z handlowania swoimi czarami też raczej nie słyniecie. Mówią nawet, żeście nigdy żadnego zaklęcia innym nie oddali, czy to w podarku, czy za odpłatą.

– Aż tak dobrze jest poinformowana Rada Krasnoludzka?

– Aż tak.

– Więc zapewne wie też, że moja moc nie ma ceny. Nie stać was na mnie. Nawet z całym, a obaj wiemy, że nie jest mały, majątkiem Rady.

– Dyc przecie nie Rada mnie posłała – lekko zdziwionym tonem powiedział Sodi. – Jeno za swoim interesem was znaleźć mi trza było.

– Ach. – Mag uśmiechnął się. – Nie doczytałem waszych myśli. To jednak niczego nie zmienia. Nie handluję mocą.

Yudherthardere uśmiechnął się krzywo.

– Każdy ma swoją cenę, panie Yasa.

Czarodziej zmarszczył brwi.

– Tacy jesteście pewni?

– Ano. Przecieście mnie czytali, to i po co pytacie?

– Krótko, z przyzwyczajenia. – Mag ponownie wzruszył ramionami. – Chcecie zaklęcia przywracającego do życia. Wybaczcie, że pytam, ale po co wam ono? Ileż macie lat? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? W waszej rasie to jeszcze młodość. Nie czuję w was też żadnej choroby. Po co wam takie trudne, misterne i kosztowne zaklęcie?

– Nie wasza to rzecz.

Yasa uniósł brwi. Na chwilę, krótszą niż westchnienie, macki telepatii znów wcisnęły się w umysł krasnoluda.

– Wróżka? – Czarodziej parsknął śmiechem. – Leśna wróżka wam rzekła, że zginiecie od miecza przed upływem tygodnia? Wróżka?! Wierzycie we wróżki?!

Yudherthardere poderwał się z ławy, czerwieniejąc gwałtownie. Potężna pięść powędrowała do topora. Nim jednak zdołał go wyjąć, lepka mgiełka, pachnąca rumiankiem i lawendą, wchłonęła pomrokę gniewu i błyskawicznie go uspokoiła. Usiadł ponownie i nie patrząc na gospodarza, burknął:

– A śmiecie się, śmiecie. Mojemu dziaduniowi przepowiedziały śmierć, a i pradziadowi. Stryjowi rzekły, jak majątek pomnożyć, a kuzynowi ze strony matki, że jego żona puszcza się z elfami. Leśne wróżki to niegłupie niewiasty.

– Niech wam będzie, niegłupie. Znałem kiedyś jedną leśną wróżkę... – Uśmiechnął się z rozmarzeniem, ale zaraz spoważniał. – No, nieważne. Nie sprzedam wam zaklęcia. Przykro mi. Jak chcecie, możecie zostać u mnie w gościnie przez miesiąc. Będziecie bezpieczni.

– Nie mogę. Rada dała mi zadanie. Muszę je wykonać.

– Jak już rzekłem, przykro mi. – Mag podniósł się. Krasnolud też wstał.

– Każdy ma swoją cenę, panie Yasa. Nie chcecie złota i precjozów, to może się wymienim? Doszły mnie słuchy, że szukacie czaru odwracającego gniewne przekleństwo...

Dobroduszny uśmiech maga w jednej chwili zastygł w lodowaty grymas. Czarne oczy pokrył szron.

– Skąd wiecie?

– Rada wie więcej, niż wam się śniło.

– Nie ma takiego czaru. Nikt nie zdoła cofnąć przekleństwa rzuconego w gniewie przez Pierwotnego Maga. To legenda – warknął cicho Yasa.

– Tak jak i zaklęcie przywracające do życia. – Krasnolud wzruszył ramionami. – Zawszem wierzył w legendy. To jak będzie?

Czarodziej powoli podszedł do kominka. Wyciągnął dłonie nad ogień i w milczeniu patrzył na tańczące płomienie. Długo. Bardzo długo. Wreszcie odwrócił się i spojrzał na gościa.

– Skąd wiecie, że nie wyciągnę go z was siłą?

– To obwarowane zaklęcie. Zadziała, tylko jeśli dam wam je po dobroci.

– Tacy jesteście sprytni?

Krasnolud uśmiechnął się krzywo.

– A nie wyglądam, co?

– Nie wyglądacie – przytaknął spokojnie mag. Wyciągnął zamkniętą dłoń ku Sodiemu, a ten podszedł szybko. Serce krasnoluda waliło niespokojnie, kiedy Yasa rozchyłał palce.

– Bierzcie – polecił mag, podając gościowi szeroką, żłobioną runami obrączkę. Ten szybko, acz z trudem wsunął klejnot na najmniejszy palec. Lodowaty żar wtopił się wraz ze srebrem w skórę, spłynął lawą w żyły i ruszył nimi w podróż przez ciało Sodiego. Drogę magii znaczyły czarne ślady spalonej skóry. Mężczyzna krzyknął krótko, gdy ból stał się nieznośny, lecz zaraz zwarł usta.



– Pal, żeby żyć, pal, żeby nie umrzeć – zaśpiewał cicho mag. – Płoń i nie przestawaj.

Siateczkę żyłek rozjarzył ogień. Śwąd gorejącej skóry drażnił zmysły. Yudherthardere przestał walczyć z bólem i krzyczał głośno, rozpaczliwie. W końcu cierpienie odebrało mu siły i rzuciło go na kolana.

– Pal! Płoń! Żyj! – Wraz z ostatnim słowem czarodzieja ogień na skórze krasnoluda zgasł, ból ustał, a po lawie magii pozostało ledwie wspomnienie. Sodi wciąż jednak siedział na podłodze, słaby niczym nowo narodzone dziecko. Łkał cicho, a po brzydkiej twarzy ciekły łzy.

Yasa odsunął się od gościa. Stanął przy kominku i czekał.

Po dłuższej chwili krasnolud wstał. Wytargał zza pazuchy chustkę, otarł policzki, wysmarkał nos i spojrzał na gospodarza.

– I już? – zapytał chrapliwie.

– Już. Pamiętajcie, że zadziała tylko raz i tylko jeśli będziecie mieli pierścień na palcu. Potem zakłęcie wróci do mnie. Nie daję wam go. Pożyczam.

Sodi pokijał głową ze zrozumieniem. Wolno obejrzał owłosione dłonie i przedramiona. Po spaleniźnie, której zapach wciąż unosił się w powietrzu, nie pozostał nawet ślad.

– Musiało tak boleć?

Mag wzruszył ramionami.

– Ma was ożywić. Spodziewaliście się pieśczot?

W odpowiedzi krasnolud uśmiechnął się krzywo.

– Byłaby jaka odmiana. – Sięgnął za pazuchę po jabłko. Podrzucił je lekko i schwyciwszy, ugryzł z namasz-

czeniu. Nie przestawał się przy tym uśmiechać. Potem podał resztkę owocu gospodarzowi. – Wasze zaklęcie.

Yasa z niesmakiem przyjął ogryzek. Obracał go w dłoni, chłonąc ukrytą wewnątrz energię, a później spojrzał na gościa.

– Rzeczywiście, nie brak wam rozumu – przyznał cicho, z uznaniem. – Tylko wasze ugryzienie uruchamia magię?

Sodi przytaknął z dumą.

– Skąd? – zapytał jeszcze Yasa.

– Babka mojego pradziada była kiedyś kochanką jednego z Pierwotnych. Czar był w rodzinie przez wieki.

– Wasza...? – Pierwotny z nieukrywanym zaskoczeniem przyglądał się przysadzistemu brzydalowi. Ten zaś wzruszył ramionami.

– No co? Są tacy, co lubią małe kobietki.

Mag zmilczał. Nie powiedział, choć malowało się to w jego oczach, że nie wzrost był największym problemem krasnoludzkich niewiast. Nie skomentował, bo naraz mu się przypomniało, czym potomkiem jest jego gość. Nie żeby w rysach jakieś podobieństwo odnalazł, bo nijak go nie było. Milcząc, przez chwilę ważył w dłoni nadgryzione zielone jabłko, jakby nie mógł uwierzyć, że oto wreszcie znalazł sposób...

– Czas mnie wracać, panie Yasa. Pomnijcie, coby owoc do końca skonsumowała. A tak na przyszłość, jak was baba wkurwi, to przełóżcie przez kolana i wlećcie na gołą dupę, a nie rzucajcie magicznych przekleństw. To jednorazowe zaklęcie, więcej spełnionych legend nie będzie. Żegnajcie.

Yasa skinął głową bez słowa. Nie patrzył za krasnoludem. Czekał, aż tamten wyjdzie z komnaty, a potem z pałacu. Nie musiał go odprowadzać, by wyczuć moment, gdy ulotna woń Tropicielea zniknie z jego domu. Cierpki zapach południowych owoców zmieszany z gorczycą. Gdy tylko Sodi minął olbrzymią złotą bramę, Yasa przymknął powieki. Wciągnął głęboko powietrze. Poczuł aromat własnej pradawnej mocy. Wspomniał głupotę słów rzuconych w gniewie. Lodowatą złość, gorącą rozpacz. Żal, mroczny i demoniczny, żyjący własnym życiem, prawie materialny, kąsający kawałek po kawałku resztki duszy, okruchy serca. Pokręcił wolno głową, rozrzucił gwałtownie ramiona i poderwał się ponad podłogę. Wreszcie otworzył oczy. Lodowate, białe tęczęwki płonęły niezmaconym ogniem.

W tej samej chwili złocista brama znikła. Korytarze wyłożone miękkimi dywanami zmieniły się w wąskie tunele wewnątrz góry, złote świeczniki w dogorywające pochodnie, a olbrzymia komnata w zimną, mokrą jaskinię, na środku której ponad wielkim ogniskiem unosił się odziany w zniszczony, stary płaszcz młody czarownik.

– Przepraszam, Arthe – wyszeptał, zaciskając palce na nadgryzionym jabłku.

*A żebyś płonęła,  
Wiecznie płonęła,  
Spalała się nieustannie,  
Wiecznie.  
Bądź przeklęta.*

Tak wykrzyczał w gniewie dziesiątki lat temu.

Odegnął wspomnienie, a potem zmrużył oczy i wypuścił owoc. Ogryzek wpadł prosto do ognia. Złociste

języki z sykiem zagarnęły jabłko. Spalało się nieskończenie wolno, jakby nigdy nie miało spłonąć, a zawieszony nad ogniskiem mag trwał w bezruchu. Jedyne kryształ na jego piersi płonął odbitym blaskiem płomieni.

W chwili, gdy ostatni kęs owocu się spopieliał, ogień w jaskini zgasł i zapadła ciemność.

Dziewczyna zaczęła łkać.

Zakonna  
Copyright © Małgorzata Lisińska  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-292-2

epub ISBN 978-83-7995-293-9

mobi ISBN 978-83-7995-294-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Iga Wiśniewska

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Projekt okładki i adiacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)





## TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

*Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bajarz, mitoman i drań w ich stylu!* – Jacek Wróbel, autor serii *Haxerlin*

PIERWSZY TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW





## CZAROWNICA MAŁGORZATA LISIŃSKA

Sodi, Likal i Yasa zmierzają wprost do paszczy lub łożnicy Smoczycy. Właściwie tylko ten ostatni ma szansę na to ostatnie. Krasnoluda i uczennicę Pierwotnego czeka lżejszy los.

Nasi bohaterowie umilają sobie drogę, popadając w liczne tarapaty, grając w „jakie to przekleństwo”, testując wytrzymałość krasnoluda na trunki i wytrzymałość pozostałych na krasnoluda. Słowem – bawią się wyśmianic, jak to tylko oni potrafią.

Wszystko do czasu, kiedy na granicy z Itru sprawy nadmiernie się komplikują i przed wędrowcami stają kardynalne pytania. Czy Yasa poświęci najskrytsze marzenia dla podopiecznej? Czy Likal okiełzna drzemiącą w niej moc? Czy Sodi z pomocą Tropicielea ochroni przyjaciół?

„Czarownica” to kontynuacja bestsellerowego „Tropicielea” i powrót do świata znanego nam ze słuchowiska „Tropiciel opowiada”.

DRUGI TOM SERII BAJKI KRASNOLUDÓW





## TANIEC MARTIONETEK TOMASZ NIZIŃSKI

To nie jest kolejna książka o ratowaniu świata!

W tej rozgrywce stawka nie jest większa niż życie, a ludzkości nie grozi zagłada, lecz w najgorszym wypadku znaczne podwyższenie stóp procentowych.

Witaj w świecie, w którym demony są analfabetami, nekromanci nigdy nie trzeźwieją, a bohaterowie są zawsze gotowi ryzykować życiem. Cudzym.

Czarna Kompania, Podpalacze Mostów, Łowcy Kości i Siódmy Regiment z Erei to elita wśród najemnych kompanii.

*Wypełniony barwnymi postaciami świat Siódmego Regimentu wciąga i nie wypuszcza do ostatniej strony.* - **Marcin A. Guzek**, autor serii *Szare Płaszczce*

*„Taniec marionetek” to najlepsza powieść fantasty od wielu lat.* - **Arkady Saulski**, autor cyklu *Kroniki Czerwonej Kompanii*

*Tak dobre, że czytałem na głos!* - **Wojciech Masiak**, @Czyta Wojtek Masiak

PIERWSZY TOM SERII WYBLAKŁE SZTANDARY





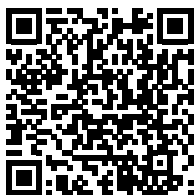


## POROZUMIENIE TRZECH TOMASZ NIZIŃSKI

Nowemu Ereburgowi grozi całkowite zniszczenie i bynajmniej nie chodzi o oblegającą go od miesięcy armię rebeliantów czy o siejące zamęt na ulicach Dzieci Czarnego Wilka. Prosty lud, zwiedziony manifestami myślicieli z Nichtael, zamęcza władze swoimi ordynarnymi postulatami. Domaga się równego traktowania, godziwych warunków pracy, a nawet powszechnego dostępu do edukacji, zupełnie jakby wysiadywanie w szkołach i pobieranie nauk stanowiło jakiś przywilej. Uświęcony tradycją porządek społeczny zaczyna chwiać się w posadach.

Te trudne czasy wymagają prawdziwego bohatera, ale z braku lepszych opcji mieszkańcy Caellarh będą musieli zadowolić się przeciętnie kompetentnym, patologicznie leniwym i doszczętnie skorumpowanym porucznikiem, który robi, co w jego mocy, by zwalić robotę na innych. Isevdrir Norgaard raz jeszcze zanurza się w kłębowski spisków i intryg, walcząc o przetrwanie, zdradzając swoich mocodawców i zastanawiając się, po co do to wszystko robi.

*“Taniec Marionetek” był znakomitym debiutem jednak “Porozumieniem Trzech” Niziński udowadnia, iż w zaledwie dwie książki stał się jednym z najważniejszych, polskich autorów fantasy ostatnich lat. Skomplikowane intrygi, mroczny klimat, świetnie zarysowane postacie oraz... humor! Autor z tych składników przygotował prawdziwą literacką ucztę, która zasmakuje każdemu czytelnikowi, wygłodniałemu doskonałej, polskiej fantasy. – Arkady Saulski, autor cyklu Kroniki Czerwonej Kompanii i powieści Serce lodu*





## DIABŁY Z SAINTS MARCIN RUSNAK

Świat znalazł się w ruinie, cywilizację zastąpił chaos. W ocalałych z wojennej zawieruchy miastach królują gangi i handlarze niewolników. Większość ludzi wyznaje tylko jedno prawo, prawo silniejszego. Tylko gdzieś próbuje się utrzymać dawny ład. Alan i Zack mają szczęście żyć w rybackiej wiosce Saints, gdzie czas upływa im na prostych obowiązkach i zabawach z rówieśnikami.

Idylla nie trwa jednak wiecznie. Osa-  
da pada ofiarą napaści, z której tylko oni dwaj wychodzą cało. Pozo-  
stawieni samym sobie, są zmuszeni do walki o przetrwanie. Niełatwą  
sytuację komplikują rodzące się pytania.

Czym są osobliwe moce, które budzą się w chłopcach? Czy atak  
na wioskę naprawdę był dziełem przypadku? Jaką mroczną tajem-  
nicę skrywali rodzice Alana i Zacka? Co łączyło ich z legendarnym  
łowcą potworów?

Alan i Zack ruszają w poszukiwaniu odpowiedzi przez świat opa-  
nowany przez potwory w ludzkiej skórze i nieskrywające swojej na-  
tury bestie.

